

„Słuchaj, sztuka to praca!”. Podcast o pracy twórczej i planowaniu drogi zawodowej w świecie sztuki i branżach kreatywnych. Zaprasza Instytut Kultury Miejskiej.

Ana Matusevic: Dzień dobry. Jestem Ana Matusevic i chcę Was zaprosić do wysłuchania pierwszej rozmowy z cyklu „Słuchaj, sztuka to praca”. Z gośćmi i gościniami podcastu będziemy rozmawiać o ich drodze zawodowej, o procesie twórczym i o różnych aspektach pracy artystycznej – z perspektywy zawodowej. Dzisiaj gościmy pisarkę i aktywistkę – Sylwię Chutnik. Cześć Sylwia, dzięki, że jesteś z nami.

Sylwia Chutnik: Cześć, witam.

Specjalnie, wśród licznych Twoich zajęć, wymieniłam w pierwszej kolejności pisanie, bo od tej strony Cię znam. Dałaś się też poznać jako osoba publicznie wypowiadająca się na temat wartości dla Ciebie ważnych. Ale dzisiaj chciałabym porozmawiać nie tyle o Twoich książkach, ile o twórczości, Twoim pisaniu rozumianym jako zawód. Spróbujemy porozmawiać o tym, dla kogo tworzysz, o kulisach Twojej pracy, o zarabianiu, o promocji, wszystkich tych sprawach, które nieraz twórcy traktują jako taki dodatek do głównego zajęcia, czyli tworzenia. Zacznijmy może od tego, czym właściwie się zajmujesz?

Od teraz już dwunastu lat, zajmuję się pisaniem, żyję z pisania. Właściwie tak było niemal od początku, tuż po moim debiucie. W 2008 roku pierwsza powieść – „Kieszonkowy atlas kobiet” i od razu sukces związany również z tym, że zostałam bardzo szybko wciągnięta na rynek wydawniczy i pisarski, a to oznaczało więcej pracy w tym temacie. W tym czasie, kiedy debiutowałam, byłam już prezeską fundacji „Mama”. Może nie zarabiałam na swojej pracy społecznej na tyle, żeby się utrzymać, ale to na pewno była moja praca, taka pełnoetatowa. Niezależnie od tego, na ile łączyła się z gratyfikacjami materialnymi. Oprócz tego pracowałam również w fundacji „Feminoteka” i tam po prostu już byłam na umowę o pracę. Zajmowałam się takim projektem dotyczącym równości, wprowadzania elementów równości i dywersyfikacji w dużych firmach po to, żeby nieść światło genderu w różne obszary. W momencie, w którym zadebiutowałam i zaczęłam zajmować się pisaniem profesjonalnie, właściwie od samego początku to była praca podzielona zarówno na pisanie felietonów, esejów, wstępów do książek, albo recenzowania tych książek. Na początku jeszcze nieśmiało, a potem coraz bardziej, oraz na uczestniczenie w spotkaniach autorskich, debatach, dyskusjach, festiwalach literackich, ale też różnego rodzaju wydarzeniach związanych z moją działalnością społeczną. Właściwie od tamtego czasu, jakkolwiek miałam po drodze różne nowe wyzwania zawodowe, to to stanowi trzon mojej pracy, również zarobkowej.

Mamy więc szeroki zakres formatów ekspresji Twojej twórczości. Zastanawiam się czego efektem była Twoja pierwsza książka? Czy to była Twoja świadoma decyzja, że chcesz pisać i że chcesz pisać właśnie o tym? Czy to był bardziej impuls z zewnątrz?

Myślę, że był to bardziej impuls, chociaż nie przeczę, że zawsze chciałam być pisarką, tworzyć i żyć sztuką, ale oczywiście raczej wydawało mi się, że to będą jakieś mrzonki, takie marzenia, które w neoliberalnym świecie zupełnie są nierealne. Warto marzyć, ale nic poza tym. Więc raczej pomysł na pierwszą książkę, na pisanie jej, ale również wydanie, w ogóle zgłoszenie się do wydawnictwa, raczej był impulsem z takiej kategorii: „spróbujemy spełnić swoje marzenia, zobacz co się stanie”. Ale nie była to jakaś kariera, która była wcześniej planowana, czy podtrzymywana przez profesjonalną agencję, czy coś w tym stylu.

Pierwsza książka i wielki sukces. Twój debiut zostaje dostrzeżony, dostaje ważną nagrodę i jest to książka, o której pisano wtedy, że jest literaturą lewicowo-feministyczną. Czy wręcz – i tu cytat: „Swego rodzaju rewolucją w polskim feminizmie”. Czyli już w momencie debiutu książka zostaje mocno sklasyfikowana w określony sposób, a Ciebie, jako autorkę wpisano w pewne ramy. Z perspektywy czasu, jak czujesz, czy to wtedy dało Ci bardziej kopa, Tobie i Twojej działalności? Czy jednak było ograniczeniem?

Ja od samego początku bardzo świadomie nazywałam siebie feministką. Od samego początku, również przy okazji wywiadów dotyczących mojej literatury mówiłam, czym zajmuję się społecznie. A zatem to nie jest tak,

że ktoś wepchnął mnie w taką szufladkę. Wydawało mi się, być może z perspektywy czasu naiwnie, że jeśli już na samym początku powiem, że jestem feministką, to nie będzie tych wszystkich nużących pytań o to, co to są prawa kobiet. Nie, nie stało się tak. Samoistne wepchnięcie się w pewnego rodzaju szufladkę, dla mnie nie jest jakoś bardzo uwierające. Choć jednocześnie zdaję sobie sprawę z tego, że dla wielu osób sięgnięcie po moją książkę jest czymś, czego nie chcą robić, a to wszystko ze względu na moje poglądy. Ale takie jest ryzyko bycia osobą, która tych poglądów nie ukrywa. Dla mnie na równi ważne jest i pisanie i działanie społeczne, więc nie sądzę, żebym była jakoś w stanie rozdzielić te dwie czynności, czy aktywności z mojego życia i tu zająć się tym, a za chwilę czymś innym.

W którym momencie poczułaś zawodowy status swojej twórczości? Że to, co robisz, to jest praca i da się z tego żyć i że jesteś zawodową pisarką?

To jest bardzo trudne pytanie, ponieważ mam poczucie, że ten stan zmienia się w zależności od tego, jaka jest sytuacja. Tak jak mówiłam wcześniej, od samego początku udawało mi się żyć z pisania. Oczywiście to nie znaczy, że jest to jakiś bardzo wysoki status materialny, ale to słowo „udawało się” jest tutaj kluczowe. Mimo tego, że od wielu lat się tym zajmuję, znam ten rynek, wiem, jak on działa, potrafię utrzymać siebie, dom i rodzinę, to mam cały czas poczucie, że to leci na pstrym koniu. I ostatnie czasy pandemiczne dokładnie pokazały, na czym polega problem prekaryzacji zawodów twórczych. To znaczy na ich tymczasowości, opierającej się w dużej mierze na eventozach, czyli tym, co się dzieje może raz, może dwa razy do roku. Zresztą podobny problem jest zarówno w twórczości, jak i w innych dziedzinach, którymi się zajmuję, to znaczy w działaniu organizacji pozarządowych, ale również coraz częściej w działaniu naukowym, gdzie granty i projekty „od-do” zżerają możliwość jakiegokolwiek stabilizacji. A zatem mam poczucie czasem, że to jest wszystko takie chwilowe, tymczasowe, więc muszę z tego wycisnąć wszystko, co można, albo na co mam siłę. Nie było chyba takiego jakiegoś konkretnego zdarzenia, czy czasu, w którym poczułam: „to jest mój zawód”, rozumiany jako ścieżka, którą będę kroczyła zawsze. Ja zawsze będę pisała, ponieważ od zawsze piszę. Niezależnie od tego, czy jest to drukowane, czy nie, to ja sobie tam w swoim notesie coś bazgrzę. To w ogóle jest poza jakąkolwiek kategorią rynkową, bo to jest po prostu... to nie tylko jest moja wolność i autoekspresja, ale to jestem po prostu ja. Bez pisania, rozumianego jako czynność, nie jestem w stanie żyć, tak samo, jak bez czytania. Natomiast co innego sprawienie, że ta ulubiona czynność, podtrzymująca życie, jest elementem pracy zawodowej. Tutaj nie ma już raczej miejsca na spontaniczność, a jeżeli od spontaniczności i impulsu się rozpoczęło, tak jak w moim przypadku, jeśli chodzi o debiut książkowy, to to wszystko, co dzieje się wokół wymaga bardzo dużego nakładu pracy i takich kompetencji, które w dużej mierze oparte są o kompetencje osób z korporacji, albo jakichś bardzo poważnych firm.

Jednym słowem, jeśli ktoś naprawdę w Polsce chce żyć ze sztuki, ale również freelance’u to musi mieć takie cechy jak brak możliwości prokrastynowania, albo ogarnianie tego swojego problemu. Ogarnianie czasu, osoba musi być bardzo mocno zdyscyplinowana czasowo, bardzo zorganizowana. Bardzo często opiera się to na umiejętności multitasking, czyli wykonywaniu wielu czynności w jednym momencie... no i wielu kompetencji społecznych. Myślę, że tutaj, jak w każdej tego typu pracy, dużo zależy od tego, jakie te kompetencje społeczne posiadamy. Czyli mówiąc wprost: jak dogadujemy się z ludźmi, czy szanujemy tych ludzi, czy szanujemy terminy, czy to, że się umówiliśmy, albo inne takie relacje. Czy jesteśmy sympatyczni po prostu, czy ludzie chcą z nami pracować, jak dobrze wypadamy w mediach czy wystąpieniach publicznych i wiele, wiele innych, mało romantycznych bym powiedziała, elementów naszej autoekspresji i życia w społeczeństwie.

Czyli tak naprawdę twórca musi zarządzać firmą, wprowadzić jednoosobową, ale firmą i myśleć o swojej twórczości w kategorii oferty, usług, czy produktu. Wspomniałaś o rzeczach, które moglibyśmy zapożyczyć od świata korporacji. Dlatego chcę Cię spytać o Twoje cele zawodowe. Budowanie ścieżki rozwoju i ścieżki kariery w korporacjach i dużych firmach to taki standard. Czy Ty planujesz swoje kolejne kroki w pracy i określasz, stawiasz sobie cele, do których potem dążysz i starasz się je osiągnąć?

Tak, przy czym w moim przypadku to jest rzecz, która zmieniała się na przestrzeni wielu lat. Ja korzystałam również z coachingu, jakichś innych spotkań, warsztatów rozwojowych, wsparcia mnie jako osoby, ale też mnie, jako działaczki społecznej. Dużo myślałam i dużo planowałam. Ale też to nie chodziło tylko o plany typowo coachingowe, co będziesz robiła za 5, 10, 15 lat, chociaż to lubię, naprawdę jestem człowiek kalendarz. Natomiast dotyczące tak naprawdę bardziej rozwoju własnego. Wiem, że to teraz brzmi obciachowo, bo coaching kojarzy się z jakąś totalną ściemą i poppsychologicznym bełkotem, ale ja myślę sobie o takim coachingu rozumianym jako wsparcie zawodowe i rozwojowe. To jest dla mnie też bardzo ważna ścieżka, korzystałam z niej na pewnym etapie życia, rzeczywiście mi poukładała wiele spraw. Dobrze jest spotkać się z osobą, kimkolwiek ona będzie, to może być terapeutka, to może być też poukładana życiowo przyjaciółka, która wysłucha nas i powie: „Wydaje mi się, że ta ścieżka jest fajna, a ta nie”. Albo starsza stażem koleżanka czy kolega z dziedziny, którą się zajmujemy. Jednym słowem ktoś, kto już przeszedł wiele rzeczy, kto może podzielić się swoim doświadczeniem, albo może być tą osobą z zewnątrz, która wysłucha nas i uporządkuje w pewien sposób nasze myśli. Dla mnie ważne był to, żeby połączyć działanie społeczne z literackim. W pewnym momencie mojego życia poczułam, że dalsze prowadzenie fundacji, którą prowadziłam wspólnie z innymi osobami przez 11 lat, że to po prostu już nie ma sensu, ja nie jestem w stanie już tego robić. Znaczą jednocześnie rozwijać się zawodowo literacko i społecznie. Musiałam podjąć bardzo trudny krok rozwiązania fundacji, to zbiegło się również ze zmianami – w sumie podobnymi – osób, które tę fundację ze mną prowadziły, więc nie było zgrzytów i pogodzenie się z sytuacją, że teraz będę taką osobą współpracującą z różnymi organizacjami i włączającą się w różne projekty, a nieposiadającą czegoś własnego. Wiedziałam, że to będzie jedynе rozwiązanie dla mnie, w tamtym momencie.

Podobnie było z kwestiami literackimi. Ja zwykle mam bardzo dużo planów, oczywiście one są tak zwanymi „planami bieżącymi”, czyli w związku z tym, że pracuję w wielu tytułach prasowych, więc w zależności od tego, do kiedy muszę oddać tekst, na ile znaków, na jaki temat mniej więcej, to mam to wszystko rozplanowane miesięcznie. Inaczej nie ma żadnej możliwości, żeby wykonywać taką pracę. Oprócz tego wszystkie spotkania, wywiady muszę mieć też zaplanowane. Robię to sama, nie mam żadnej osoby, agentki, agenta, no nikogo. Więc wszystkie spotkania w bibliotekach, domach kultury, festiwalach, wszystko ja ogarniam. Więc muszę trzymać się planu. Oprócz tego mam od kilku lat własną działalność gospodarczą, więc ogarniam też faktury i całą resztę takich spraw nudno-formalnych. W związku z tym te plany muszą być w to wszystko wpisane. To nie brzmi jakoś mega romantycznie, ale dzięki temu, że wiem mniej więcej, co będę robiła za rok, za dwa i czym chciałabym się zająć, albo w którą stronę bym chciała iść, to też pozwala mi w jakiś sposób mieć kontrolę nad tym, co się dzieje. Bo kiedy jest się freelancerką i wpadają koleje zlecenia, to bardzo łatwo można stać się takim chomikiem w kołowrotku, gdzie bierze się wszystko, bo przecież nie ma możliwości na to, żeby pozwolić sobie na to, aby nie wziąć.

Oczywiście część moich planów zrewidowała pandemia i ta niepewność, jak długo to jeszcze wszystko potrwa, rzeczywiście zastopowała wiele moich nowych koncepcji. Jak wiele, wiele innych osób chciałabym powiedzieć, że byłam – nadal jestem taka – nie bardzo mogąca odnaleźć się w tej sytuacji. Zwłaszcza dla mnie, osoby, która planuje jest to bardzo trudne. Dla przykładu: miałam w maju i w czerwcu skorzystać ze stypendium wyszehradzkiego w Budapeszcie, które dostałam, pracować tam nad swoją nową powieścią. Nie będę prawdopodobnie... znaczy być może w lipcu, ale też nie wiadomo, bo wszystko jest zamknięte, w sensie granice i wszystkie aktywności tego typu, więc już teraz muszę się zastanawiać: „No dobrze, nie pojadę na to stypendium, no to jak będę pisała książkę? Gdzie znajdę miejsce, żeby w spokoju nad nią pracować?”. To się zdarza, więc to jest rzeczywiście nieustanne pilnowanie tych terminów, ale terminów rozumianych jako takie dalekosiężne plany, dające też coś w rodzaju... nie wiem jak to nazwać... no być może planowania swojej zawodowej ścieżki.

A gdzie w tym wszystkim jest miejsce na wenę twórczą? Na natchnienie?

W ogóle nie ma czegoś takiego jak wena twórcza. Ja od wielu lat prowadzę również warsztaty pisania, również na wyższych uczelniach. Jest to jedna z rzeczy, którą staram się przekazać osobom, którym wydaje się, że zawód twórczy to jest właśnie jakiś taki szal na chmurze z pawim piórem, a potem strofami pisanymi

w uniesieniu na czerpanym papierze. No nie. Gdybym ja miała czekać po prostu, aż mi się zachce, to w ogóle nie ma takiej możliwości. Przecież wiemy, że jest sto tysięcy innych ważniejszych i ciekawszych rzeczy niż siedzenie przy biurku i smętne walenie w klawiaturę. Oczywiście zdarzają się sytuacje, w których... to się nazywa „tekst niesie nas same” albo mamy poczucie, że to nie my piszemy, tylko to jest po prostu flow, strumień świadomości, ale to się nie wydarza, przynajmniej u mnie i innych osób, które zawodowo zajmują się pisaniem, które znam i o tym z nimi rozmawiam... to nie wydarza się w momencie, w którym nie usiądziemy na tyłku i nie zaczniemy pisać. Jednym słowem wena nie jest czymś, co ma nas usadzić, tylko jest czymś, co jest ewentualnie nagrodą za to, że w ogóle piszemy i podejmujemy ten trud. A zatem czekanie na jakieś takie nieoczywiste napady pomysłów, czy tej twórczej weny jest bardzo niebezpieczne, bo na przykład możemy się nie doczekać. A poza tym ja bardzo często wchodzę w buty rzemieślniczkich literackiej, to znaczy wracam do usmażenia iluś tam felietonów i nikogo z redakcji nie będzie interesowało, że ja aktualnie nie mam weny i nic nie napisałam. Więc mam jakieś tam zabezpieczenia, backup’y, notatki z różnymi tematami, które mogę wykorzystać, pomysłami na teksty. W momencie, kiedy rzeczywiście mam gorszy dzień, pustkę w głowie, nie wiem, w którą stronę iść, wówczas sięgam do tych notatek i to one stanowią taką ściągę weny, ale rozumianą jako pomysł na tekst.

Niedawno mieliśmy webinar, w którym trenerka zachęcała twórców do myślenia o swoich umiejętnościach jako o usługach i co za tym też idzie, do myślenia o odbiorcy, o odbiorcach tych usług. Czy myślisz o tym, kto jest Twoim odbiorcą? Kto czyta Sylwią Chutnik? I jak to wpływa na to, co tworzysz?

Tak, oczywiście. Jest to mój obowiązek w pewien sposób. Ja mogę powiedzieć buńczucznie, że nie obchodzi mnie, kto czyta moje teksty i ja w ogóle piszę tylko dla siebie. Oczywiście to jest nieprawda, ponieważ każda osoba, która decyduje się na pokazanie swoich tekstów, opublikowanie ich, robi to też dla ludzi. Ja mogę mieć swoją prywatną satysfakcję i czasami mam takie poczucie, jak pisze tekst, a właściwie jak skończę, to myślę sobie: „Kurczę, fajny, naprawdę mi się udało”. To jest moje, to jest ten prezent, który dostaję, natomiast jako osoba pisząca do różnych tytułów, ja muszę nieć z tyłu głowy, kto to czyta. To nie o to chodzi, że ja mam się teraz zamieniać w dział reklamowy i patrzeć jaki jest target tygodnika „Polityka”, gdzie publikuje felietony, czy miesięcznika „Pani”, albo tygodnika „Wysokie Obcasy”. No ale oczywiście, że inaczej będzie wyglądał tekst do portalu Papaya.Rocks, z którego korzystają osoby średniego pokolenia, które mocno siedzą w kulturze alternatywnej. A co innego będę pisała do tygodnika „Polityka”, który może czytać 60-letni profesor filozofii. Przepraszam za to kategoryzowanie, ale chodzi mi bardziej o obrazowe myślenie o naszych odbiorcach i odbiorczyniach. Co to oznacza dla nas, pisarzy i pisarek? To znaczy przede wszystkim inny zasób narzędzi, który się daje. Jak ja bym teraz w miesięczniku „Pani” miała streścić ostatnie imby dotyczące transfobii w środowisku wolnościowym czy lewicowym, to przecież nikt by tego nie zrozumiał. To jest jakiś absurd, to w ogóle jest absurd sam w sobie. Ale pojęciowo, czy językowo to jest wyższa szkoła jazdy i to dla wybitnie zaangażowanych. Więc mogłabym oczywiście wyjaśnić ten fenomen, ale wtedy będę inaczej to robiła, niż miałabym pisać to na „Codziennik Feministyczny”. Więc to jest bardzo ważne, bo moją nadrzędną rolą jest skomunikowanie się z odbiorcą czy odbiorczynią. Ja nie wiem, czy mi się to uda, ja nie muszę się też naginać jakoś bardzo, ale taka jest moja rola. Ja nie piszę tego dla siebie, tylko piszę to dla kogoś. Jak chcę pisać dla siebie, to mam inne formy pisania dla siebie, pamiętnik na przykład. Ale jeśli się pisze tekst, to trzeba go tak przedstawić i swoją tezę i to, co chce się powiedzieć, żeby jak najwięcej osób to złapało.

Nieco inaczej mam w przypadku opowiadań czy literatury pięknej. Wówczas trochę bardziej jestem egoistką. To znaczy myślę sobie, że jeżeli ktoś nie złapie, to po prostu trudno, taki jest mój styl. Jeszcze inaczej mam, jeśli zdarza mi się napisać wiersz i jeśli zajmuję się poezją, to wtedy w ogóle mam poczucie, że to jest tak totalnie niszowe, że mam w ogóle „Ej i tak tego nikt nie będzie czytał.” Więc właściwie... można zrobić sobie portret psychologiczny osoby zajmującej się w Polsce poezją, ale umówmy się, te pięć osób, które ten portret tworzą... to jest też taki moment, w którym mogę sobie je wyobrazić, wręcz z twarzy. To wszystko zależy, co piszę. Jeśli mam teksty zleczone, na przykład wstęp do jakiejś książki, albo polecenie tej książki tak zwanym blurbem, czyli krótkimi, mini-recenzjami z tyłu okładki, albo mam do napisania recenzję, czy polecijkę książki nieco dłuższym tekstem na swoich mediach społecznościowych... do wszystkiego muszę nieco inaczej

podchodzić. Bo są różne osoby, które będą z tego korzystały. Jak już ktoś siedzi na moim profilu, to rozumiem, że mogę trochę innym językiem pisać niż do osoby, która być może pierwszy raz usłyszy o jakiejś koncepcji, czy gatunku literackim, który przedstawiam.

Z rozważaniem o odbiorcy wiąże się też kategoria oczekiwań. Odbiorcy mają swoje oczekiwania i wydaje mi się, że czasami świadomość tych oczekiwań może pomóc, ale jednak mimo wszystko grozi to też wpadnięciem w pewną pułapkę. Może presji, czy poczucia, że nie spełniamy czyichś oczekiwań? Na przykład, gdy wychodzimy z jakimś nieoczekiwanym tematem. Czy masz jakiś sposób na radzenie sobie z oczekiwaniami innych?

Oczekiwania same w sobie nie są złe, chociaż trzeba sobie bardzo szybko powiedzieć, że się ich nie spełni. Nie ma takiej możliwości, żeby spełnić oczekiwania wszystkich osób. Po pierwsze one się najczęściej wzajemnie wykluczają. Po drugie wychodzą z takiego, zwłaszcza w ostatnich latach, z takiego przebudźcowania, czyli nieczytania ze zrozumieniem oraz niełapaniem ironii. Co jest jakąś plagą w ogóle, bardzo w moim przypadku jest to teraz trudne. Bo się coraz częściej łapię na tym, że coraz mniej jej używam, bo boję się, że ktoś to odbierze 1:1, a to się naprawdę coraz częściej zdarza. Mam możliwość obserwowania odbioru tekstów, moich tekstów przez ponad dekadę. Ale te oczekiwania mogą się stać naszym zewnętrznym krytykiem, to znaczy taką osobą, która torpeduje nasze pomysły i nasze teksty zanim one w ogóle powstaną. I to jest bardzo trudne do przejścia, bo przecież już mamy tego wewnętrznego krytyka i on jest całkiem spoko rozbudowany, więc jeśli jeszcze dochodzi to, co z zewnątrz, to już w ogóle może być problem. Możemy się zacukać i nie mieć chęci i po prostu się twórczo zatkać. Natomiast myślę, że radą byłoby to, żeby pogodzić się z tym. Absolutnie moją radą nie jest: „Oj tam przestań, nie przejmuj się. Nie przejmuj się krytyką, hejtem i komentarzami”. Nie. Nie ma możliwości, żeby się tym nie przejmować według mnie. Nie znam takiej osoby. Poukładać to sobie w głowie. Nie ma możliwości, żeby każdemu i każdej tłumaczyć, co mieliśmy na myśli, pisząc dany tekst. Widocznie ta osoba nie zrozumiała, ale mogło być też tak, że my nie napisaliśmy tego dość dobrze. To znaczy rzeczywiście ja mam takie poczucie, że robię wszystko, co w mojej mocy, żeby książka była ciekawa, pod względem merytorycznym dobrze przygotowana, żeby porywała, żeby miała w sobie to coś, tę energię, ten błysk. To jest tyle, co ja mogę zrobić na dany moment. Po prostu daję z siebie wszystko. To może być kulawe, nie za bardzo uniwersalne, może się nie podobać wielu osobom, ale to jest coś, co ja mam do powiedzenia.

Często mi się zdarzają sytuacje, na spotkaniach autorskich, gdzie w ramach dyskusyjnego klubu książki przychodzą głównie osoby starsze ode mnie przynajmniej o jedno pokolenie, czasem o dwa. One mają do mnie zarzuty, że moje książki są smutne, a one chciałyby żeby były wesole. Zawsze wtedy muszę odnosić się do takich wręcz zarzutów, albo sugestii, żeby jednak był happy end raz na jakiś czas. Nauczyłam się więc, że wtedy mówię, że ja tak właśnie piszę. Tak po prostu myślę, tak odbieram świat i jednocześnie zachęcam do tego, żeby iść do biblioteki i księgarni i znaleźć inne książki, które będą bardziej pocieszające, zabawne, albo z happy endem. To znaczy sugeruję tym osobom, że jest taka różnorodność literacka, że każda osoba znajdzie coś dla siebie. Oczywiście fantastycznie jest być bestsellerem, w sensie iść na najbardziej szerokie wody, ale ja chyba nigdy taka nie byłam. Bo ja zawsze gdzieś tam byłam trochę offowa i też chyba nie oczekuję tego od siebie czy swojej kariery. Raczej cieszę się bardzo, że i tak jestem czytana, że mój świat i moja wrażliwość jest doceniana przez ludzi. Nie ma możliwości, żeby ucieszyć wszystkie osoby. To jest trochę tak, jak z dorosłością, kiedy odkrywamy, że nie każdy nas lubi. To jest smutne, chcemy, żeby było inaczej, ale coś mi się wydaje, że tak już będzie.

Z tego, co opowiadasz to wokół Ciebie jest bardzo dużo ludzi, nie unikasz spotkań, jest to też pewna ścieżka promowania Twojej twórczości. Porozmawiajmy więc chwilę o promocji. Wydaje mi się, że są takie dwa skrajne podejścia. Z jednej strony czasami się mówi, że dobra sztuka sprzedaje się sama. A z drugiej strony na tym drugim biegunie jest to, że dobra promocja sprzedaje wszystko. Jaki jest Twój stosunek do promocji jako takiej? Do promowania siebie i tego, co piszesz?

Ja nie mam z tym problemu. Myślę sobie, że ja dużo promuję też innej twórczości. To jest też tak, że ja czasem mam poczucie, że siebie za mało w związku z tym, bo bardzo dużo piszę o innych książkach, o sztuce, o kulturze i innych wydarzeniach z zakresu działania społecznego. Ja cały czas informuję ludzi. Mój temperament jest taki, że ja bardzo lubię spotkania z ludźmi, ja bardzo lubię gadać, mądrzyć się, występować. Zawsze taka byłam. Byłam dzieckiem, które brało udział w każdym apelu i mówiło wierszyk. Ja jestem typem gwiazdy z estrady, która musi dostawać oklaski, ludzie muszą mnie słuchać. No i tyle. To jest mój temperament. Pytanie jest takie: czy naprawdę uważamy, że nasza kariera jest czymś, na czym nam zależy? I wtedy inwestujemy w firmę PR, mega współpracujemy z działem promocji naszego wydawnictwa, wydawnictwo w nas inwestuje kasę, bierze nam stylistkę... nie wiem, to wszystko jest takie rozbuchane. Albo robimy to swoją własną metodą i tak było w moim przypadku. Jednak etos DIY albo wcale - jest dla mnie bardzo ważny. Dlatego wszystko robię sama wokół swojej pracy. Chociaż czasem strasznie marudzę, że oczywiście nie powinnam się zajmować księgowością jakoś za bardzo, bo powinnam pisać wiersze. Natomiast absolutnie nie mam problemu z tym, żeby występować w mediach, dać się fotografować. W ogóle mam takie poczucie, że te fałszywe skromności są często objawem nie tylko braku pewności siebie, ale również jakiegoś takiego udawania, że jest się na głębokim off'ie, podczas gdy tak naprawdę chciałoby się być na niejednej okładce. Ja nie musiałam, właściwie od samego początku mojego pisania, robić jakichś wielkich zabiegów. Ponieważ ja już byłam, mówiąc bardzo brzydko, gotowym produktem. Miałam wyraziste poglądy, wyrazisty wygląd i umiałam gadać. Tak jest do tej pory. Ja nie mam żadnych złudzeń co do mediów i tego, jak działa w ogóle świat, jak działają lajki i jak działa cały ten blichtr. Po prostu liczy się oryginalność, liczy się przebojowość i cała reszta. Ja ją mam, bez żadnego zbędnego napinania się. Co nie znaczy, że to jest treść i cel mojego działania. Ponieważ ja w ogóle jestem gdzie indziej, to jest po prostu przy okazji. Żyję się potwornie, kiedy wokół pisarzy robi się czasem jakieś zamieszanie i pojawiają się głosy: „A, to na pewno po to, żeby sprzedać książkę”. To tak nie działa, chyba, że rzeczywiście za tym stoi jakaś agencja PR i robi zamieszanie. Tak, to się zdarza też w literackim świecie i mamy już takie przykłady, naprawdę takiego PR-u amerykańskiego, bym powiedziała. Natomiast to są jakieś jednostkowe przykłady, a cała reszta próbuje się pokazać. Nie ma nic złego w tym, że chcemy pochwalić się światu, co się przygotowało, co się napisało i ten autolans, czy autopromocja jest absolutnie czymś ok. Bez tej fałszywej skromności. Natomiast, ponieważ ja cały czas lansuję też strasznie dużo innych ludzi, to naprawdę nie mam poczucia, że jakoś się tu bardzo wystawiam. Tak, dobra sztuka się sama obroni, ale będzie to promil. Cała reszta nie obroni się sama. Ja widzę to po sobie, z tym że ja mam akurat inne metody promocji. Mam źródła, z których czerpię informację i wielki billboard z napisem „bestseller” w ogóle mnie nie interesuje. Natomiast ja po prostu w tym mocno siedzę, w tym, czyli w rynku wydawniczym. Ja wiem, gdzie szukać, ja wiem czego ja chcę szukać, a cała reszta jest poddawana presji PR-u i nie ma innej możliwości. To jest trochę tak, jak ludzie obrażają się na EMPIK. Ok, można też tak, spoko, tylko to jest bardzo trudne.

Zostawmy na chwilę pisanie, bo chciałabym pomówić też o innych Twoich formach ekspresji. Śledzę na Spotify Twój podcast, masz też konto w serwisie Patronite, gdzie finansowo mogą wspierać Cię patroni i patronki, Ciebie jako twórczynię, jako autorkę podcastu. Czy myślisz, że takie serwisy jak Patronite mogą być alternatywą dla twórców? Alternatywą dla takiego tradycyjnie rozumianego modelu biznesowego?

Myślę, że tak, to się rzeczywiście rozwija w Polsce. Dla mnie to akurat miało być tylko dopełnienie, a absolutnie nie główne źródło utrzymania. Po prostu zależało mi na tym, aby moje radio było totalnie niezależne, a nie znalazłam jeszcze, ani nikt nie zgłosił się do mnie z fajnej firmy, która by wsparła ten projekt finansowo i nic ode mnie nie chciała. Więc pomyślałam sobie, że Patronite będzie dobrym rozwiązaniem i jest. Totalnie mnie satysfakcjonuje to, co tam się dzieje wokół. Oczywiście to jest tak, że za tym stoi robota, bo ja oferuję wysyłanie co miesiąc różnych rzeczy, różnym osobom, więc jestem non-stop na poczcie, pakuję, robię prezenty, laurki, więc ja też dużo z siebie daję, oprócz tego, że robię podcasty. Natomiast... po prostu ja to lubię i taką formę... to jest takie strasznie fajne, że piszę ręcznie listy do tych osób. Dla mnie to po prostu jest taka przyjemność. Zdecydowanie, w moim przypadku to się sprawdza, ale to jest, tak jak mówię, praca wokół tego, a po drugie widzę też, że ludzie coraz częściej są do tego przyzwyczajeni i wspierają projekty, które im się podobają. Z resztą ja też to robię, więc wiem, z jakich pobudek ustawiają sobie stały przelew. Wydaje mi się, że to jest ciekawe i fajne rozwiązanie dla konkretnych projektów, które się robi. Chociaż, ja

rzeczywiście na Patronite jestem po prostu sobie jako Chutnik, nie jako radio Sylwia. To się łączy też z muzyką, którą robię, ale też innymi aktywnościami społecznymi, więc ludzie po prostu chcą mnie wspierać. Ale rzeczywiście to było dla mnie idealnym rozwiązaniem na utrzymywanie swojego podcastu.

Jedną nogą jesteś też na scenie niezależnej. Czy na scenie offowej taki temat jak zawód-artysta w ogóle ma rację bytu? Czy też profesjonalizacja jest niemile widziana?

Nie, raczej niemile widziana w tej takiej mocno niezależnej scenie, natomiast ja też jestem związana ze sceną wokół OFF Festiwalu, który od kilku lat organizuje tam kawiarnię literacką, no i tego rodzaju off jak najbardziej się profesjonalizuje. Powiedzmy, że jest bardzo dużo różnych etapów myślenia o sobie, ale niezależnie, czy to będzie punkrock, czy to będzie electro, czy to będzie rock, jak nie ma tam po prostu nas, tylko kombinujemy, co tu zrobić, żeby stać się sławnymi i zarobić, to ma krótkie nogi. To jest jak pisanie postów na Facebooku tylko po to, żeby dostać dużo lajków. Wiadomo, jak to działa, ale prędzej, czy później ta formuła może się wyczerpać. Moje doświadczenie jest takie, że im bardziej jestem nie tylko szczerą, ale taką spontaniczną na mediach społecznościowych, tym ludzie to lepiej przyjmują, bo widzą, że nie jest to właśnie napompowane promocyjnie, czy jakkolwiek. Akurat moi użytkownicy i użytkowniczki cenią sobie bardzo mój sposób spojrzenia na świat i to jest dla nich cenne. Myślę, że gdybym teraz zaczęła korzystać z jakichś profesjonalnych agencji, to bardzo szybko oni by to wyczuli. Te osoby nie są raczej w ogóle tym zainteresowane, więc myślę, że to też zależy od sposobu funkcjonowania w mediach. Widziałam to po moim coming-oucie, który miałam w zeszłym roku. Ludzie go przyjęli tak dobrze, bo dla nich to było jakoś spójne, oni po prostu mi wierzą. Tam moja walutą, która jest dla mnie najważniejsza i bezcenna zarazem i boję się, że ją kiedykolwiek stracę albo naruszę, jest zaufanie ludzi. Jak nie masz go, to w ogóle możesz mieć milion sprzedanych książek i tyle followersów, ale to w ogóle nie ma żadnego znaczenia. To jest najważniejsze i to powie też pewnie każda agencja i specjalistki i specjaliści od tego. Natomiast myślę sobie, że ta niezależność... oczywiście inaczej do niej podchodziłam, kiedy miałam szesnaście lat, inaczej do niej podchodzę jak mam ponad czterdzieści... zawsze ta niezależność dla mnie jest niezależnością ekonomiczną. To chciałam też podkreślić, że jako osoba, która pochodzi z biednej rodziny, jako osoba, która musi utrzymać dom, syna, siebie, kredyt, ja naprawdę myślę o kasie. Mało tego, totalnie się tego nie wstydzę i mało tego, w miarę możliwości pomagam też innym osobom, które też chcą wreszcie ułożyć swoją kasę. Tu nie chodzi o to, żeby zarabiać dużo, to chodzi o to, żeby zarabiać tyle, żeby mieć poczucie bezpieczeństwa i przede wszystkim niezależności. Myślę, że dla wszystkich osób wychowywanych do roli kobiety, która 5 razy sponie rumieńcem zanim zapyta się ile zarobi za tekst, to w ogóle ja jestem znana z tego, że robię totalny coaching wszystkim koleżankom, żeby negocjowały i żeby pytały się o pieniądze. A umówmy się, najczęściej mówimy o totalnie niskich zarobkach i słabej kasie. To jest dla mnie bardzo ważne, żeby zacząć zarabiać na tym, co się robi. To nie jest żaden wstyd. Wiem, że w Polsce jest jakieś takie przyzwolenie na robienie za darmo. Ja robię bardzo dużo rzeczy za darmo, społecznych, ale tym bardziej muszę dbać o swoje finanse. To jest dla mnie bardzo, bardzo ważne.

Na koniec naszej rozmowy Sylwio, mam jeszcze jedno pytanie do Ciebie. Czy jesteś zadowolona z tego miejsca, w którym teraz jesteś?

Tak, jestem bardzo zadowolona. Mam to szczęście, że nie straciłam pracy w czasie pandemii, ona nie miała na mnie wielkiego wpływu, ma wpływ na każdego z nas, również zdrowotny. Natomiast, jeśli chodzi o moją pracę, to nadal jest zapotrzebowanie na pisanie. Mam w swoim życiu plan B i plan C, jeśli chodzi o robienie rzeczy. Mam też niepisaną umowę z jednym z wydawnictw, że jak przestanę pisać, to będę pracować u nich w księgarni, a że jestem po liceum księgarskim, więc się bardzo cieszę. Właściwie to się nie mogę doczekać tego. Ja się żadnej pracy nie boję, miałam ich już w swoim życiu naprawdę wiele. Dla mnie najważniejsze jest, żeby sobie pisać do pamiętniczka i to jest... jak to będę miała, to wszystko jest ok.

Dziękuję, była z nami Sylwia Chutnik.

Dziękuję bardzo.

A ja zapraszam już niebawem na kolejne spotkanie, na kolejny odcinek „Słuchaj, sztuka to praca!”. Podcast będzie się ukazywał w każdy drugi wtorek miesiąca i jest do wysłuchania na YouTube i Spotify Instytutu Kultury Miejskiej. Chcę też podziękować Piotrowi Mielcarkowi za użyczenie głosu na otwarcie i zamknięcie naszych podcastowych odcinków. Dziękuję i do usłyszenia.

Podcast jest częścią programu edukacyjnego online „Sztuka to praca” skierowanego do artystek i artystów oraz przedstawicielek i przedstawicieli zawodów kreatywnych – tych rozpoczynających pracę, jak i tych chcących poszerzać swoje kompetencje. Wspieramy w profesjonalizacji i rozwoju zgodnie z własnymi wartościami i celami artystycznymi. Więcej informacji znajdziesz na stronie Instytutu Kultury Miejskiej: www.ikm.gda.pl.